22. NUMER. LISTOPAD 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Na marginesie autografów Szopena.

Z niewymownem rozrzewnieniem patrzę na te ciche karty albumu Marji Wodzińskiej; tej Marji, co twórcę „Szwajcarji“ od jeziora błękitów unosiła w krainę złotych snów, a była dla nieśmiertelnego mistrza tonów harmonji wcieleniem i pieśni żywem źródłem.

Gdzieś w dali złocą się senne kłosy zbóż, ukołysane jasną zórz ciszą. Rusałki z rannej mgły tkają szaty świetliste — lilja otwiera swój kielich.

W pokoju swym mistrz siedzi i duma. Przed nim książka ukochanej Marji. Budzą się w nim wspomnienia lat młodzieńczych, kiedy to Marja



Fryderyk Szopen na łożu śmierci.

uczenica jego, nuciła melodje mistrza do piosnek sielskich St. Witwickiego. Stanął przed oczyma Szopena dom rodzinny w Warszawie i cicha postać Ludwiki.

Pod wpływem tych wspomnień wpisał na pierwszej karcie albumu: Lento con gran esspressione, rzewny utwór w cis-moll w formie nokturna, napisany niegdyś siostrze, dla wprawy do koncertu f-moll.

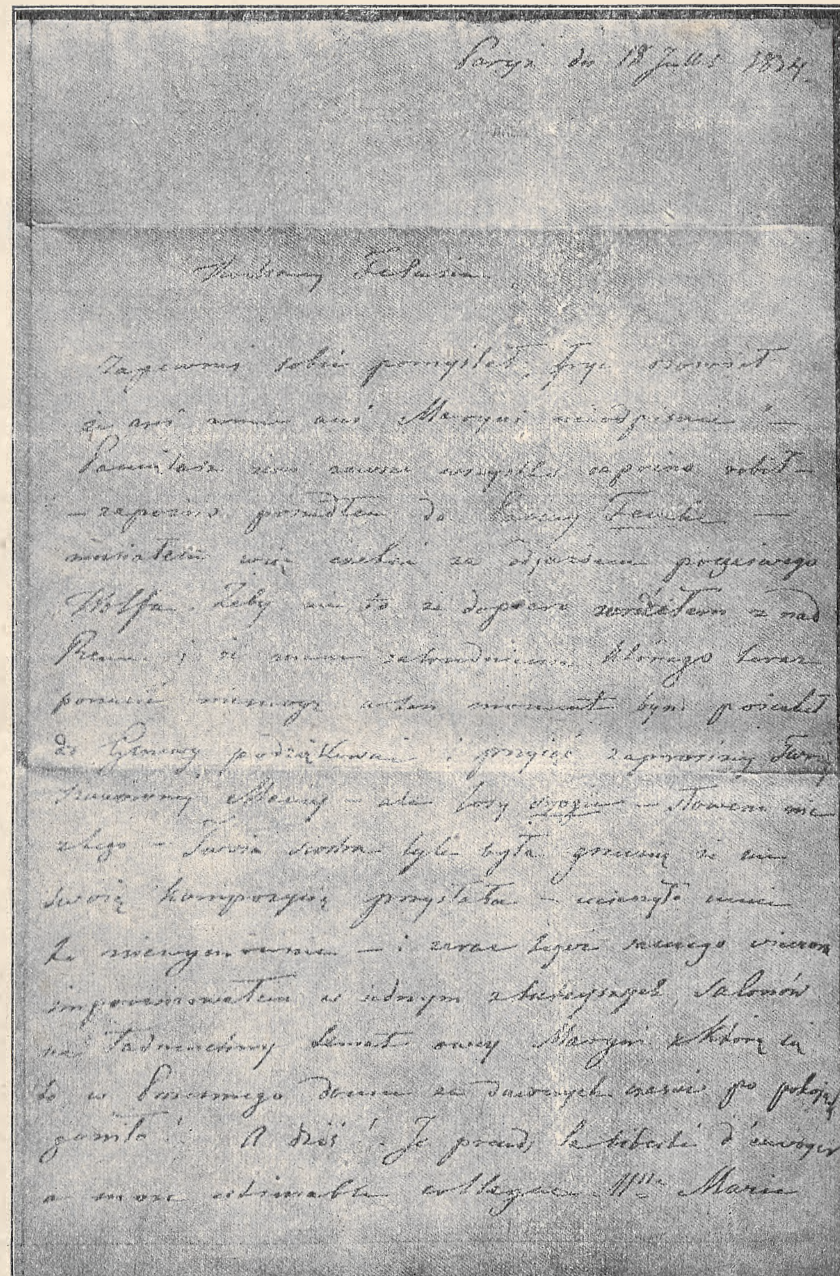
Pożółkły ten i zwiędły od starości papier, niemal wiekowym oprószony pyłem, miłości czarem uśmiecha się, anielskim świtem.

Ten liścik pisany do Feliksa Wodzińskiego brata Marji, z którą mały Fryderyk gonił się po pokojach „domu Pszennego“ budzi w sercu jasne, promienne chwile pierwszej młodości. Śni się złoty, świetlany, pełen woni kwiat szczęścia. Biegną myśli pod słońcem rozjaśnioną strzechę.

Staje w duszy anielskie dzieciństwo. Oto wielki mistrz tonów rozwija słoneczny kwiat swego serca. Miłość, ta czarodziejka kołysze go przyspieszonym rytmem, trąca o struny ech uśpionych! W ciszy mrok wieczorny, w „szarą godzinę“ wstają rozchwiane w obłok sine opary — gasną bole. Scichły gwary życia. Słyszysz jeno głośne bicie serc...

Ale świt złoty błysnął i wnet zgasł w pomroku. Marja uległa przemożnej woli ojca. Osmętniał duch mistrza. Zbladła świetlana łuna marzeń. Serce wezbrane żalem płacze straconej duszy. Jękło mu szczęście pogrzebowym dzwonem...

I zdawało się, że harfa rozbita ręką mistrza głosu nie dobędzie. Lecz wieszcz tonów ból swój w bolu narodu utopił. Skrzydłem natchnienia uderzył w serca nasze — potęgą tonów rozświetlił tajniki duszy polskiej. Smutek, tęsknotę, żal wlał w swe nieśmiertelne **n o k t u r n y**. Nie lśnią one w tęczowych blaskach klejnotów, to cała przyroda gra i tętni bólem.


Paryż d. 18 Julii 1834.

Kochany Feliksie.

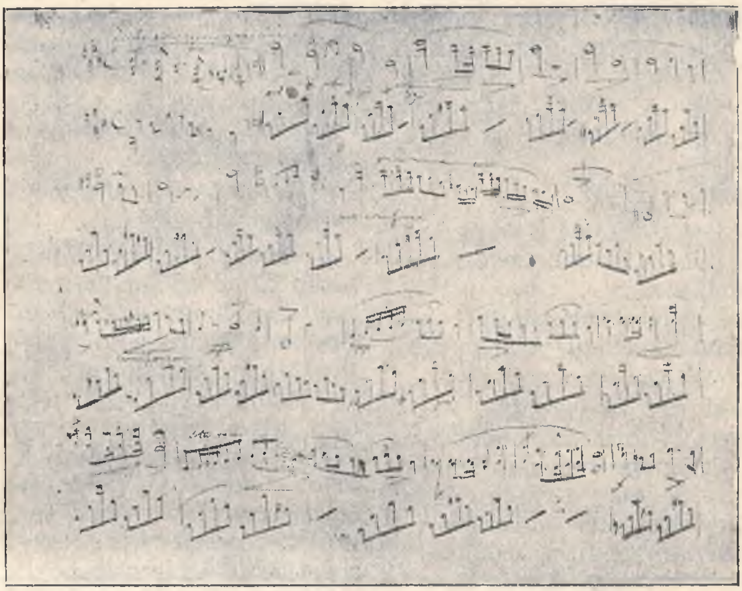
List Szopena do Feliksa Wodzińskiego.

Wieszcz nasz nie strojny w purpurę ni berło królewskie — koroną jego aureola świetlana smutku.

Z tych tęsknych marzeń budzą nas fujarki i kobzy **m a z u r k ó w**, to pastuszki pieśnią swą

witają dzionek, a rosa niebieska spływa na ugory i rżyska. Weseli się hoży lud Mazowsza, basetla wtóruje skrzypkom, grzmią z podkówek chłopcy, dziewoje suną w tany.

Znika wieś polska. Na sali balowej wirują wytworne pary. Powiewne, rozkoszne melodje walca szeptem miłości upajają jak woń egzotycznych kwiatów.



Nieznany nokturn Szopena.

To znów na przeźroczach jeziora toni mknie łódka. Dźwięki barkaroli i plusk wody zlewają się w przedziwną harmonię. Pienią się, wzbierają fale uczuć, a pieśń zrazu cicha rośnie, olbrzymieje i znów razem z wodą opada i milknie.

Przed nami zielona wyspa, na górze widnieje klasztor szary i smutny, mnich odmawia litanję za spokój duszy grzesznej, a dzwon klasztorny tętni głucho, żałośnie, to preludjum h-moll.

Niebo błękitne łzę leje, zwątpienia żal ogarnia serce. Śpiewa samotnik rzewnie i tęskno, krople dżdżu tłuką o szyby. Zapada zmrok, przesuwają się grozą przejmujące widma, preludjum des-dur zrazu smętne, rozwiewa się w ponurą, pełną łez rzeczywistość.

Wypogadza się, kwiaty spłakane podnoszą swe kielichy — z za mogił stają zbrojni rycerze, dźwięczą pałasze, lśnią karabele, bohaterowie z pod Grochowa i Ostrołęki kroczą przy dźwiękach poloneza. Otucha wstępuje w serca, to ojczyzna nasza podnosi się i żyje. Rozbrzmiewa pieśń zwycięstwa, Polska jaśnieje blaskiem chwały i mocy. *Kornelja P.*

Echa wystawy architektonicznej.

Zaledwie kilka możnaby dziś naliczyć w Europie stołecznych miast, które nie mają jeszcze pałaców sztuki. Do nielicznych tych wyjątków należy też i Lwów. O wzniesieniu godnego przybytku sztukom plastycznym mówi się tu wprawdzie i pisze od dość dawna, ale dotychczas były to tylko fantastyczne rojenia i „dobre chęci". Obecnie sprawa wchodzi na tory realniejsze. Przez ile ludzkich głów myśl ta przeszła, tyle zrodziła przeróżnych wyobrażeń jakiegoś mniej lub więcej wspaniałego gmachu, napełnionego obrazami i rzeźbami. Każdy chciał mieć i widzieć coś innego, a bez wątpienia wszyscy pragnęli rzeczy jak najokazalszej, a przy tem zapewne oryginalnej i może... „swojskiej". Z jak wielkiem zaciekawieniem spieszył tedy każdy interesujący się sprawą na minioną wystawę architektoniczną, by odszukać tam plany przyszłego pałacu sztuki we Lwowie i skontrolować swą wyobraźnię, porównać rodzącą się rzeczywistość z upodobaniem i smakiem własnym.

Nie zawiódł się, bo mamy na wystawie aż... dwa projekty na pałace sztuki.

Jeden, to szkic p. Grzymalskiego, wprawdzie bardzo oryginalnie pojęty, nawet o pewnych motywach swojskich — ale w całości o kształtach niezrównoważonych i nieproporcjonalnych. Rażące jest zwłaszcza ustosunkowanie obu zbyt niskich, przysadzistych części bocznych do wysokiej a nie dość zgrabnej części środkowej. Zresztą jest to tylko szkic, wykazujący poza błędami, bardzo szlachetne usiłowania stworzenia rzeczy nieszablonowej, ubranej w nową szatę prawdziwego piękna. Ten szczery zamiar bynajmniej niepośledniego talentu, objawia się w całej pełni

w bardzo dobrych szkicach oryginalnych projektów na cerkwie i kościoły. W rysunkach tych jest już wiele wdzięku świeżych form, jest widoczne zerwanie z bezmyślnym szablonem.

Nawiasowo, a z wielkiem uznaniem, należy to samo powiedzieć o autorach projektów na kaplicę przy „Morskiem Oku“, tudzież o pracach pp. Sosnowskiego, Mączyńskiego, Piątkowskiego, Budkowskiego i innych. Niezwykły i szlachetny prostotą kształtów i linii jest projekt synagogi p. Sosnowskiego, natomiast jego rysunki (akwarele) bastjonów i twierdz, przypominają bardzo t. zw. „Marschiertor“ z 12 w. w Akwisgranie, „Porte de Hal“ w Brukseli z r. 1381, oraz nowy budynek t. zw. „wagę św. Antoniego“ na nowej targowicy w Amsterdamie.

Ale wróćmy do pałacu sztuki.

Drugim projektem jest starannie wykończona, poważna i umiejętna (autor widocznie wiele studjuje) praca p. Sadłowskiego.

Przyjrzyjmy się jej bliżej, zanalizujmy i porównajmy z tem, co nam na temat pałacu sztuki budowała wyobraźnia własna.

Kto zna, a raczej kto się kiedykolwiek przyglądał baczniej dawnym lwowskim budowlom, więc kaplicy Boimów i domom w rynku (Sobieskiego, Szolza i inn.), ten odrazu uchwyci, jakby na gorącym uczynku, główną i zasadniczą myśl p. Sadłowskiego. Zużytkował on tu w całej pełni wszystkie motywy z dawnych, renesansowych i barokowych lwowskich budynków. Wielka, bardzo wielka, śmiała i ryzykowna pokusa!...

Więc okna z kaplicy Boimów, ostro obrobione kamienie na rogach gmachu z domów Anczowskiego, Szolca i Bandinellego, delfiny na atyce z kamienicy Sobieskiego w rynku itd.

A wszystko razem?... Czyżby chęć odtworzenia (?), czy też nawet stworzenia jakiegoś stylu lwowskiego“ Drogą martwej tylko kompilacji?

Zaiste próba bardzo ryzykowna i niewdzięczna! Albowiem powszechnie wiadomą jest rzeczą, iż nikt jeszcze nie stworzył nowego stylu i nigdy go nie stworzy drogą samej kompilacji. Posługiwanie się w architekturze prawdziwie pięknymi motywami dawnymi bynajmniej nie jest wiwisekcją, popełnioną na organizmie „dobrego smaku“ i twórczości, przeciwnie może tylko świadczyć o dobrem poczuciu piękna bystrego obserwatora. Ale musi to być motyw istotnie piękny, t. j. przedewszystkiem konstruktywnie usprawiedliwiony, umiejętnie dostosowany. Słowem, musi być należycie rozważony, jakim ma służyć celom, musi być odpowiednio przetrawiony, czyli przetworzony. Tak przetwarzał, chociaż nie zawsze z równie świetnym rezultatem, motywy romańskie i gotyckie, wielki architekt, Talowski. Tak przetworzyli mistrzowie renesansu motywy staroklasyczne, tak przetwarza się dziś, niejednokrotnie ze świetnymi, wprost przepysznymi wynikami budownictwo i zdobnictwo wschodnie (motywy egipskie, indyjskie, perskie, chińskie i japońskie).

Zresztą nic nowego, bo jest to tylko fala powrotna, lecz w zupełnie innej formie, zmienionym konturem rysunku, — niż się to działo za czasów „orjentalizmu“ w pierwszej połowie minionego wieku. Wówczas — głównie naśladowano, wiernie kopiowano i kompilowano, dlatego też powierzchowny i płytki ten prąd przepłynął bez pozostawienia trwałych i monumentalnych śladów. (U nas chińskie hełmy na barokowych wieżach kościoła Dominikanów w Tarnopolu). Dziś fala ta sama pobudza twórczość i zapładnia utalentowane umysły, czujące wstręt i odrazę do wszelkiego kompilatorstwa, oraz do banalnego naśladownictwa.

Zastanówmy się tedy nad genezą kształtu okien kaplicy Boimów.

Wielcy mistrzowie renesansu włoskiego upiększali okna dzieleniem ich w połowie szerokości smukłemi kolumienkami, na których opierali dwa środkowe końce półokrągłych łuków. Ściśle konstruktywny ten sposób zdobienia okien, wydał się budowniczym późniejszym, zwłaszcza Niemcom, zbyt prostym i za mało sztucznym. Nic nadzwyczajnego, powiedzieli sobie, wspierać końce łuków okien na kolumnach — my pokażemy lepszą „sztukę“ — zawiesimy je w powietrzu! I tak powstał konstruktywnie nieuzasadniony, a estetycznie niesmaczny t. zw. „wiszący klucz“, spajający, lecz nie podtrzymujący środkowe końce łuków okien. „Sztuczka“ może znośna, jeśli jest powtórzona tylko w dwu egzemplarzach, nisko nad ziemią, w kaplicy Boimów, lecz wprost niemożliwa, zbyt rażąca w zastosowaniu do wszystkich okien całego piętra pałacu sztuk. Nie wszystko bowiem da się wszędzie, bez zmiany zastosować. Motyw ten jest tu tembardziej niestosowny i niesmaczny, że nad oknami wznosi się wielka masa muru, bez żadnych okien, którą p. Sadłowski starał się niby zamaskować jakimiś alegorycznymi obrazami. Te wielkie, puste przestrzenie ścian nad owymi podwójnymi, zawieszonymi w powietrzu łuczkami stosunkowo za niskich i za małych okien, robią dla oka bardzo niemiłe wrażenie. Jest w tem wszystkiem rażący brak konstruktywnego związku, a naodwrót, jakby umyślnie zaznacza się silnie robota klecenia i kompilowania, jakaś przekorna chęć koniecznego dostosowania całości do danych szczegółów, a nie odwrotnie — jakby być powinno.

Braki konstruktywne podkreślają jeszcze bardziej okrągłe, również nie wiążące się z całością narożnice, zakończone, rzecz niebywała, bardzo niską, o mniejszej średnicy, nasadą ośmioboczną, przykrytą również kanciastym, ośmiobocznym dachem. Byłoby o wiele lepiej, gdyby albo całe narożnice były również kanciaste, aż do ziemi, (np. synagoga we Wrocławiu) lub, jak zwykle bywa, gdyby kanciaste wieżyczki były kryte okrągłemi kopułami, lecz nie odwrotnie. Długa rura okrągła przykryta mniejszej objętości nasadą i dachem

kanciastym, wielobocznym nie może wywołać dobrego i pożądanego wrażenia. Dlatego też z takim „sposobem" nie spotyka się prawie nigdzie.

Również dawno już zaniechano zdobienia pustych ścian, górnej części pałaców sztuki — z wierzchniem oświetleniem — polichromicznymi obrazami. Przekonano się, że rzecz to równie niepiękna, jak arcyniepraktyczna. Zwłaszcza w naszym klimacie, gdzie w krótkiem lecie niema prawie dnia bez deszczu, a zima i słotne pory przejściowe zabierają znacznie większą część roku. Stąd też pałacom, przeznaczonym na pomieszczenie galerji obrazów, nadają najchętniej zewnętrzny wygląd greckich świątyń (Berlin, Budapeszt itd.), przez co unika się kwestji rozmieszczania okien i zdobienia owych ścian zewnętrznych. Jeżeli już mają one być ozdobione, to najstosowniej płaskorzeźbą, ale nigdy obrazami. Najlepiej zaś, jeżeli nas nie stać na arcydzieła płaskorzeźby, pozostawić ściany zupełnie puste, jak np. pinakoteki monachijskie. Można jednak zarówno tych nieporadnych, pustych ścian, jakoteż konieczności kształtów zbanalizowanej już, niestety, świątyni greckiej, uniknąć w ten prosty sposób, iż wokoło sali, czy też sal środkowych z oświetleniem górnem umieszcza się szeregi gabinetów z oświetleniem bocznem (np. Wiedeń, Cassel itd.), wtedy można okna rozczłonkować i ozdobić jak się komu podoba, tudzież zyskuje na takiej budowie zarówno wewnętrzny podział sal, jakoteż zewnętrzny wygląd gmachu.

Możnaby wreszcie pozostawić owe puste ściany, ale w takim razie najodpowiedniej zamaskować je arkadowem obejściem, czyli ciągnącym się wokoło całego gmachu, krytym balkonem. Byłoby to wcale oryginalne i piękne, oczywiście przy dostrojonej harmonijnie niższej części gmachu. Balkon taki, częściowo oszklony, mógłby nawet służyć pewnym celom utylitarnym.

Najtrudniejszą wreszcie rzeczą przy każdym większym, monumentalnym gmachu, służącym zwłaszcza celom wzniosłym i pięknym, jest harmonijne połączenie korpusu z dachem, tudzież kształt dachu samego.

Kwestja ta w projekcie p. Sadłowskiego jest również rozwiązana nie według ścisłych zasad artyzmu i jednolitości stylu. Atyka z delfinów nad wielkiemi, choćby nawet zamalowanemi przestrzeniami muru, psuje linię, roztrząsa się i niepokoi oko. O wiele lepsze byłoby tu przejście zupełnie gładkie.

Ale cóż, kiedy delfiny są na kamienicy Sobieskiego i chcą — muszą — koniecznie być także na pałacu sztuki, który znowu, gwoli owym internacjonalnym delfinom, chce i musi być koniecznie „nasz lwowski"... (?) A pan Sadłowski, jak wiadomo, tak szczerze i serdecznie kocha i tak pilnie studjuje renesans i wczesny barok polski. Pragnąłby go wskrzesić i wcielić jak najpiękniej w gmachy nowoczesne. I z tak wielkiem, snać, zamiłowaniem i zapałem kreślił swój projekt, iż zapomniał o wyrazie „kompilacja", który jest klejem wodnistym, bez żadnej mocy spajania. Skoro przyjrzy się na chłodno swemu projektowi, wielkie znane jego uzdolnienie i wypróbowany smak, nie pozwolą zapewne na wykonanie gmachu w takiej formie (bez zmian), w jakiej go nam pokazał.

A że umie być samodzielnym i oryginalnym, bez wskrzeszania i bezkrytycznego odtwarzania rzeczy minionych, nie tak bardzo znowu górnych, by samo ich naśladowanie było już artyzmem — tego najlepiej dowodzą inne jego wystawione rysunki, a przedewszystkiem projekt kaplicy grobowcowej.

Nie wątpimy zresztą, iż kiedy zamiar będzie bliskim zrealizowania kompetentne czynniki ogłoszą zapewne konkurs nietylko na plany, lecz także — i to koniecznie — na model pałacu sztuki, nie narzucając przy tem żadnych reguł stylu, jak to się, niestety, było stało przy projekcie na kościół Elżbiety. Dziś już warto z całym naciskiem zaznaczyć, iż najodpowiedniejszem najpiękniejszem i jedynem miejscem dla świątyni sztuki we Lwowie, jest t. zw. ogród pojezuicki, mianowicie miejsce naprzeciw gmachu sejmowego, lecz w głębi poza łukiem klombów i żywego płotu, gdzieby nawet nie trzeba było niszczyć wiele drzew, trudno wprost wyjść z podziwu, jak można, mając tak pod każdym względem wymarzone, idealne stosowne miejsce, myśleć o małych placykach w śródmieściu. Sztuka nie znosi zgiełku i hałasu ulicznego, a jej świątynia nie lubi sąsiedztwa kramarskich domów i czynszowych kamienic.

Ach prawda!... — wszak cały parter „pałacu" mają podobno zająć sklepy.. może nawet „wyręby mięsa"!

Biedna *kamienica sztuki* musi wtedy stać w pyle ulicznym i gościć u siebie wszelkiego rodzaju kramarstwo. A może dopiero kiedyś, po wiekach, znajdzie się ten apostoł, który przepędzi ze świątyni handlarzy, a ją samą, naprawiając wielki błąd przodków, przeniesie na godne, spokojne i wolniejsze od kurzu miejsce wśród kwiatów i zieleni drzew, co się dziś już dzieje u wszystkich cywilizowanych narodów. Ale droga kultury do nas trwać musi zawsze setki lat!?

Zresztą jest galerja, choć każdy wie, że tylko przypadkowo tam umieszczona, nad sklepami w Sukiennicach krakowskich — dlaczegożby zatem i Lwów nie mógł mieć tego samego, lub przynajmniej coś podobnego?! A gdyby tak mimo wszystko zaryzykować i wybudować „pałac" sztuki, choćby z wielkimi kramami, w ogrodzie, położonym również prawie w śródmieściu. Kto wie, czy obywatele nie chodziliby tam właśnie chętniej... na kupno, niż na inne ciasne i zapylone placyki wśród wrzawy ulicznej? Ogród i kwiaty mają urok i powab nawet dla filistrów i przekupni. Tym sposobem Lwów „pobiłby" nawet Kraków, gdyż miałby również galeryę z kramami prawie w śródmieściu, i do tego jeszcze

w pięknym ogrodzie w najbliższem sąsiedztwie przybytku wybrańców i zbawców narodu. Niejeden mąż mógłby tam studzić swoje krewkie porywy i wznosić poziom zacnej, a żmudnej swej „roboty", boć sztuka — mówią — uszlachetnia!

Jest też na wystawie lwowskiej drugi projekt gmachu, oparty również całkowicie na dawnych gotycko-renesansowych motywach Sukiennic krakowskich, a mianowicie „domu Tow. kred. ziem.", zajmującego ogromną przestrzeń między ulicami: Karola Ludwika, Kopernika, Szajnochy i Sykstuską. Autorem tego kolosu jest p. Noworyta. Mimo ogromnych rozmiarów, całość jest tu w przeciwieństwie do omówionego pałacu sztuki, bardzo jednolita i harmonijna.

Odnajdujemy tu również wszystkie znane nam już motywy dawne, ale są one ze sobą bardzo udatnie połączone. Bardzo dodatnie i miłe wrażenie wywołuje widok długich, malowniczych i zawsze pięknych podcieni arkadowych wokoło całego, kolosalnego gmachu. Gdyby go wykonano w tej mniej więcej formie, (bo jest również tylko próba projektu), jaką nam pokazał p. Noworyta, w takim razie nie miałby on sobie równego w całej Europie; byłby więc pożądaną atrakcją dla wszystkich przybyszów. Należałoby tedy dążyć, by bardzo udałego i szczęśliwie pomyślanego projektu zasadniczo nie zmieniano. Ale krążą już niestety, smutne wieści, że Tow. planu tego nie wykona, gdyż zamierza posiadłość swą rozparcelować.

Bardzo dodatnią i pochwały godną stroną dopiero co przeszłej wystawy architek. były modele, o których przy innej sposobności pisaliśmy już na tem miejscu. Mamy ich tam kilka (7—8), a wszystkie bardzo starannie i poprawnie wykonane. Modele wielkich kamienic zaprojektowanych przez pp. Zacharjewicza, syna (akc. banku związk.), Pinkerfelda i Zarembę (dom przy ul. Torosiewicza) i Kędzierskiego i Opolskiego (stow. katol. we Lwowie) świadczą bardzo wymownie o wielkiem artystycznem wyrobieniu projektodawców. Wszędzie widzimy duże, spokojne, nierozdrobnione, harmonijnie połączone .płaszczyzny i linie. Projekt p. Zacharjewicza jest przy tem za monotonny i za mało urozmaicony, co zresztą spowodowało zapewne uszczuplenie kosztów (?). (Dom ten przypomina też bardzo w ogólnych zarysach pałac ks. Brabancji na Gr nd' Place w Brukseli).

To samo trzeba też powiedzieć i o projekcie teatru ruskiego p. Lewińskiego. Tu dopiero można się wprost nauczyć tego, jak bardzo pożądanymi i niejednokrotnie koniecznymi są modele wszelkich większych budowli. Model projektu p. Lewińskiego wykazuje wszystkie te wady: zbytniej masywności, nudnej jednolitości i monotonii, tudzież przesadnej symetryczności — jakichby się na samym rysunku bądź wcale, bądź nie tak łatwo dostrzegło. Widzimy tu także pewną nieporadność w połączeniu ze sobą różnych części gmachu o odmiennem przeznaczeniu, oraz w chęci przetłumaczenia motywów wziętych z budowli drewnianych na kamień i cegłę. Ślady tych płonnych usiłowań odnajdujemy zaledwie na dachu i na — wcale — niełądnym gzymsie, krytym dachówką, opasującym cały gmach mniej więcej w połowie wysokości.

Dążność ta, powiedzmy szczerze, najzupełniej zbędna i idąca w całkiem fałszywym kierunku — stała się w ostatnich czasach bardzo modną. Każdy szanujący się student architektury, a także wielu architektów starszych uważają za szczyt twórczości przetopienie drzewa na kamień czy cegłę! I poco to? Czyż np. koń może być piękniejszym w skórze muła? Pocóż dla bardzo problematycznej swojskości obdzierać ze skóry muła i wciągać ją koniecznie na większego i zgrabniejszego konia?

Wszak drzewo musi pozostać drzewem, a kamień kamieniem. Każdy materjał nadaje się do wręcz odmiennych form i do innych kompozycji tektonicznych. Nieuszanowanie tych właściwości przyrody mści się zwykle na śmiałkach, jak to właśnie widzimy na modelu p. Lewińskiego, na gmachu „Dnistra" i na tylu i tylu innych nieudałych próbach i poronionych projektach. Inna rzecz kształt ogólny, forma zasadnicza, sylweta to można naśladować w kamieniu, ale nigdy szczegóły i odrębne właściwości konstruktywne materjału drzewnego. To musi zawsze zawieść i powinno się wreszcie zaprzestać wszelkich bezowocnych prób i wysiłków w tym kierunku.

Malutki model p. Wyczyńskiego wcale zresztą udałego kościółka o kształtach budowli drewnianej, potwierdza w zupełności słowa powyższe.

Inny anonimowy modelek malutkiego domku mieszkalnego o skromnych i prostych kształtach, bez wszelkich ozdób, dowodzi najwymowniej, że piękno architektoniczne mieści się w konstrukcji samej, w odpowiedniem rozmieszczeniu okien i drzwi, a nie w oblepianiu ścian „secesją". Same plany drzwi i okien na zupełnie gładkich, czystych ścianach są tu najlepszą ozdobą, bo nie naruszają niczem szczytnego miana skromności. Model ten powinien być wzięty pod rozwagę przy aktualnej dziś sprawie budowy domków urzędniczych. Wszystkie te modele tak sumiennie i starannie wykończone mogłyby być chlubą każdej europejskiej wystawy. Nie powinny one zatem wracać do swych prywatnych właścicieli, lecz powinny stanowczo i koniecznie wraz z dawnym, wspaniałym modelem teatru miejskiego znaleźć pomieszczenie w osobnej sali na politechnice, na wydziale architektury. Nic bowiem nie spełnia lepiej funkcji dydaktycznej i to nietylko dla adeptów sztuki budownictwa, jak modele różnych budynków; na nich bowiem, a nie na samych planach widzi się i studjuje najzrozumialej wszelkie wady, błędy i zalety. Poza tem powinny one być umieszczone na podstawach ruchomych, tak, żeby można było dowolnie zniżać je i podnosić ponad linię i płaszczyznę ocza ka-

żdego widza. Na obecnej wystawie są one z wyjątkiem modelu ruskiego teatru umieszczone za nisko.

Szkoda, że autor, podobno nagrodzonego projektu na przebudowę ratusza lwowskiego pod godłem „Twardy Orzech“, nie dał nam również modelu, z którego przekonałby się przedewszystkiem sam, iż jego strzelista i iglasta wieżyca jest stanowczo za nikła i za spiczasta w stosunku do niezłej wprawdzie, ale dość ciężkiej i masywnej całości. Projekt ten jest poza tem ze wszystkich wystawionych najlepszy, chociaż zarazem najbardziej... niemiecki, albowiem jest niemal kopią nowego „gmachu zarządu miasta“ („städtische Verwaltungsgebäude“) w Akwisgranie. Zresztą mniej lub więcej podobnych gmachów z podcieniami buduje się obecnie w Niemczech i Holandji badzo wiele. Podcienie bowiem mają prócz strony malowniczej, także i praktyczną, gdyż osłaniają wejścia i wystawy sklepowe, oraz chronią przechodniów zarówno przed słotą, jakoteż przed upałem. Zaczem chętnie ludzie wracają do starej, wypróbowanej praktyczności.

Pierwsza nasza zbiorowa wystawa prac architektonicznych zasługuje naogół, mimo licznych luk i braków, mimo nieobfitowania w rzeczy nadzwyczajne (zasłużeni i niezwykli: Zacharjewicz starszy, ojciec i Talowski należą już do przeszłości) na jak największe uznanie. Jest bowiem w swych widocznych i szlachetnych, a sumiennych dążeniach do wyżyn piękna świetnym początkiem prac dalszych. Musimy przyznać szczerze i otwarcie, a z nietajoną radością, że architektura nasza w dzielnych spoczywa dłoniach, rwących się do usunięcia i wyplenienia bezmyślnego szablonu, co wprawdzie w trudnych warunkach naszego bytu, tudzież wobec szerzenia się partactwa przeróżnych spekulantów nie zawsze się udaje ale zamiary ich są zawsze żywe i szczere.

A młodzi studenci architektury? Znamy ich artystyczne uzdolnienie, gorący zapał i serdeczne ukochanie swego przedmiotu, owej przewodniczki sztuk. A złączenie architektury z akademią sztuk pięknych? Oby jak najprędzej nastąpiło! Wszystko to mówi, że budownictwu naszemu świetna zapowiada się przyszłość. Świt już jest, a po świcie musi nastąpić pełny blask słońca, który rozproszy i wypije mgły.

Jest tedy wszelka nadzieja, że blask ten ujrzymy już może na przyszłych, zbiorowych wystawach prac utalentowanych naszych architektów, najlepszemi ożywionych chęciami, oraz że wystawy te, także i pod względem zewnętrznym — przejrzystszą i piękniejszą przywdzieją formę.

Byłoby też bardzo pożądanem, by we wszelkich konkursach i wystawach architektonicznych, brały stale czynny udział kompetentne sfery naukowe.

ip.

Dokoła mennicy lwowskiej.

(Śp. Ferdynand Wysocki i zbiór monet ruskich a lwowskich.)

Do najciemniejszych i najmniej znanych kart historji Lwowa należą dzieje mennicy, która tutaj istniała za Kazimierza Wielkiego, Ludwika węgierskiego, Władysława Opolczyka i Władysława Jagiełły, a później w czasach Jana Kazimierza. Jeszcze co do tej ostatniej dochowało się trochę dokumentów, ale lwowska mennica średniowieczna poszła tak gruntownie w zapomnienie, że historycy aż do wieku XIX, jak Alembek, Zimorowicz, a nawet Zubrzycki tylko niejasną i bałamutną mieli o niej wiadomość. Dopiero wykopaliska monet w tej mennicy bitych rzuciły trochę światła, a nawet rzec można odkryły ten dział numizmatyki polskiej.

Wykopaliska te dokonywane różnymi czasy oraz monety znalezione w rozbitej gałce wieży ratuszowej w czasie jej upadku w r. 1826 stworzyły też specjalny typ miłośników i badaczy monet dla Rusi bitych i lwowskich. Do nich należał numizmatyk z początku ubiegłego wieku Ignacy hr. Łoś, który z dumą nazywał siebie „ojcem monet ruskich“ antykwarjusz i księgarz lwowski Kajetan Jabłoński, ks. Jan Stupnicki, a niewielki ich szereg zamyka zmarły przed dwoma tygodniami Nikodem Ferdynand Wysocki.

Przez długie lata oficer austrjacki, później kierownik urzędu loteryjnego we Lwowie, odznaczony przy końcu życia tytułem „radcy cesarskiego“ należał śp. Wysocki do najwytrawniejszych i najbardziej zamiłowanych znawców numizmatyki polskiej. Był nestorem numizmatyków i wyrocznią w tych sprawach w ostatniej instancji. Zwłaszcza jeżeli chodziło o praktyczną stronę numizmatyki, jak o oznaczenie stopnia rzadkości ceny, odmian, choćby najdrobniejszych był śp. Ferdynand Wysocki wprost niezrownanym a rozległa jego pamięć, znajomość poszczególnych typów monet zadziwiała tych, którzy się kiedykolwiek z nim zetknęli.

Zamiłowanie numizmatyczne graniczyło u niego z namiętnością. Poza czynnościami zawodowymi nie zajmował się niczem innem jak tylko ulubionym przedmiotem, a nawet część zawodu swego w nim ulokował. Był bowiem przez długie lata sądowym znawcą numizmatyki, powoływanym ilekroć tylko sąd lwowski miał sposobność zetknąć się ze starymi monetami.

Trzydziestoletnia z górą praca na jednem polu nietylko że nie osłabiła namiętności, ale chyba ją jeszcze spotęgowała. Na łożu śmiertelnem, ciężką złożony niemocą, doznawał wszystkich wzruszeń i strapień amatorskich z pierwotną siłą i wrażliwością, chciał posiadać rzadsze okazy, zawsze gotów do facjendy lub kupna, porządkował i opisywał swoje zbiory, interesował się z młodzieńczą żywością każdym okazem ciekawszym, który pojawił się w handlu, lub między zbieraczami, godziny całe trawił na rozmowach

numizmatycznych, niepomny, że każdą taką rozmowę przepłacał ogromnem pogorszeniem się stanu swojego zdrowia.

Chociaż z drugiej strony twierdzono, że zajmowanie się sprawami numizmatycznemi, myśl o wydawnictwie katalogu monet lwowskich przedłużyła mu życie, dostarczając nerwowej podniety, jak oliwa dolewana do gasnącej lampy. Lekarze liczyli to życie na dni tylko i na godziny a on przecież, ilekroć odwiedził go któryś z numizmatyków, w ostatnich czasach zwłaszcza p. Rudolf Mękicki, dźwigał się z łoża boleści, rozprawiał szeroko i żywo w pełni władz umysłowej i swojej fenomenalnej pamięci. I takim też został aż do ostatniej dosłownie chwili swojego życia.

W wielkiej dziedzinie numizmatyki,nietylko polskiej, bo i na zagranicznej rozumiał się doskonale miał śp. Ferdynand Wysocki specjalność swoją nad wszystko ulubioną. Był to wspomniany u wstępu dział monet lwowskich i bitych w mennicy lwowskiej. Monety te, nawiasem mówiąc wcale rzadkie zbierał z żelazną wytrwałością, znał je jak żaden z polskich numizmatyków, posiadał zbiór ich największy w Polsce i lata całe strawił na zbieraniu materjałów do ich naukowego opisu. Opis ten w formie katalogu ze wszystkiemi najdrobniejszemi nawet odmianami był celem jego życia i jedyną jego ambicją — pracował nad nim bez przerwy, pragnąc go jeszcze za życia swego ujrzeć wydrukowanym. W ostatnich miesiącach żył już tylko tą jedną, jedyną myślą i śmierć go zaskoczyła w pełni marzeń, projektów, przy samym końcu dzieła, już prawie zupełnie gotowego do druku.

Katalogu monet lwowskich nie ujrzał Wysocki na półkach księgarskich.

Pozostał tylko czystopis dokonany wspólnie z p. Rudolfem Mękickim z wielkim nakładem pracy obydwóch doprowadzony do tego stanu, że prawie mu tylko jeszcze słowa „koniec“ brakuje i pozostał zbiór denarów i kwartników Kazimierza Wielkiego, Ludwika Władysława Opolczyka, półgroszkow ruskich i lwowskich Władysława Jagiełły, ortów lwowskich i tynfów złotowych Jana Kazimierza, kilkaset egzemplarzy liczący.

Zbiór ten jest owocem trzydziestoletnich z górą zabiegów. Odziedziczywszy w r. 1870 po dziadku pudełeczko z czternastoma drobnymi monetami, rozpoczął Wysocki zbierać wszystkie stare monety, jakie mu tylko w ręce wpadły. Za lat ośm zbiór ten liczył tysiąc sztuk okazów najrozmaitszych. Od roku 1878 począł zbierać tylko monety polskie, a od roku 1880 specjalnie tylko monety wyszłe z mennicy lwowskiej.

W skład tego zbioru weszło drogą zamiany, lub kupna początkowo 10 ortów lwowskich z dubletów zbioru śp. Andrzeja hr. Potockiego, 18 sztuk takichże ortów z licytacji zbioru A. Inngfera w Berlinie, kilkadziesiąt półgroszków ruskich i lwowskich, nabytych od p. Michała Greima z Kamieńca podolskiego i p. Karola Bołsunowskiego z Kijowa, a pochodzących z wykopaliska około 3.000 sztuk półgroszków Jagiełły i półgroszków mołdawskich dokonanego w Bessarabii.

Trzon zbioru śp. Ferdynanda Wysockiego stanowią dwa wykopaliska dokonane równocześnie prawie w r. 1902 w Wołostkowie pod Sądową Wisznią i w Laszkach murowanych koło Lwowa. W pierwszej miejscowości wyorano skarb składający się z 200 sztuk groszy praskich Wacława III, około 150 sztuk półgroszków koronnych i 40 sztuk półgroszków ruskich i lwowskich. Z resztek drugiego wykopaliska ocalało wszystkiego 20 półgroszków ruskich.

Denary miedziane ruskie pochodzą prawie wszystkie z nad brzegów Pełtwi, gdzie je przed zasklepieniem rzeczki różnymi czasy znajdywano, tynfy złotowe Jana Kazimierza z wykopaliska we Lwowie w r. 1908 przy zakładaniu rur wodociągowych, resztę zaś monet ruskich i lwowskich kompletował śp. Wysocki drogą kupna poszczególnych egzemplarzy lub zamiany.

Kupno zaś i wszelakiego rodzaju facjendy przychodziły śp. Wysockiemu tem łatwiej, że stał w stosunkach ze wszystkiemi prawie firmami zagranicznemi oraz w ożywionej korespondencji ze wszystkimi numizmatykami, którzy wysoko cenili jego wiedzę i doświadczenie.

Śp. Ferdynand Wysocki pisał niewiele, ale to, co kiedykolwiek drukował w „Wiadomościach archeologiczno-numizmatycznych“ i innych pismach fachowych ma istotną i rzetelną wartość dla numizmatyki. Najważniejsze jednak dzieło całego jego życia: katalog monet z mennicy lwowskiej oczekuje nakładcy. A jest rzeczą wielkiej dla numizmatyki doniosłości, ażeby dzieło to jak najrychlej ujrzało światło dzienne, jak również, ażeby zbiór śp. Wysockiego nie rozprószył się, ale został w jednych rękach, najwłaściwiej w rękach muzeum narodowego im. króla Sobieskiego we Lwowie.

F. Jaworski.

NOTATKI.

Godła herbowe. Nie zbytecznem będzie zwrócić uwagę czytelników polskich na niewielką książkę p. S. Trojnickija konserwatora petersburgskiego muzeum Ermitażu, świeżo wydaną pod tytułem »Гербовие девиза русскаго, польскаго, финляндскаго и прибалтицкаго дворянства« (Petersburg, 1910). Autor ułożył tu skorowidz, mający ułatwić określenie przynależności godła do odnośnego herbu, oraz rodziny szlacheckiej i vice versa, co niewątpliwie posiada pewne znaczenie praktyczne do pracujących na niwie historji i dziejów sztuki. Godła herbowe tak w języku rosyjskim jak obcym, w książce p. Trojnickija ułożone są w porządku alfabetycznym w dwóch oddzielnych rubrykach. Godła herbów polskich oczywiście obejmują tylko szlachtę polską w obrębie państwa rosyjskiego.

P. E.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego.